

Hans Christian Andersen

Czerwone trzewiczki

Była raz mała dziewczynka – delikatna i ładna – tylko że w lecie musiała chodzić bosą, bo była biedna, a w zimie nosiła wielkie drewniaki, od których drobne jej nóżki robiły się czerwone, strasznie czerwone.

We wsi mieszkała stara szewcowa; siedziała i szyła najlepiej, jak tylko potrafiła, ze starych, czerwonych skrawków sukiennych parę małych trzewiczków. Trzewiczki te były może niezgrabne, ale szczerym sercem ofiarowane, a miała je dostać mała dziewczynka. Mała dziewczynka nazywała się Karen.

Właśnie tego dnia, kiedy odbywał się pogrzeb jej matki, dostała czerwone trzewiczki i włożyła je po raz pierwszy; nie było to może stosowne do żałoby, ale dziewczynka nie miała przecież innych, więc szła za ubogą trumną w czerwonych trzewiczkach na bosych nogach.

Drogą przejeżdżała właśnie wielka, stara karetka, a w niej siedziała stara pani; zobaczyła małą dziewczynkę, ulitowała się nad nią i powiedziała do pastora:

– Proszę dać mi tę małą dziewczynkę, będę dla niej dobra.

Karen myślała, że to z powodu jej czerwonych trzewiczków, ale stara pani powiedziała, że trzewiczki są szkaradne, i kazała je spalić. A dziewczynkę ubrała ładnie i czysto. Musiała się uczyć czytać i szyć. Teraz ludzie mówili, że Karen jest ładna i miła, a zwierciadło mówiło: „Jesteś o wiele więcej niż miła, jesteś śliczna!”

Pewnego razu przyjechała do tej okolicy królowa ze swoją córeczką, która była księżniczką. Ludzie zbiegli się gromadnie przed pałac, a między nimi była też Karen; mała księżniczka stała w oknie w białej sukni i pozwalała się oglądać; nie miała trenu ani złotej korony, tylko śliczne czerwone safianowe trzewiczki; rozumie się, że daleko ładniejsze od tych, które stara szewcowa uszyła niegdyś dla małej Karen. Na całym świecie nie mogło być nic piękniejszego od tych czerwonych trzewiczków.

Karen była już taka duża, że miała być confirmowana; sprawiono jej nową suknię i miano jej sprawić nowe trzewiczki. Bogaty szewc z miasta wziął miarę z jej małej nóżki; było to u niego w izbie, gdzie stały wielkie, oszklone szafy pełne najśliczniejszych trzewiczków i błyszczących butów. Wyglądało to bardzo ładnie, ale stara pani miała słaby wzrok i nie mogła się tym zachwycić. Wśród trzewiczków była jedna para czerwonych, zupełnie takich samych jak te, które miała księżniczka, ach, jakież one były piękne! Szewc powiedział, że zrobił je dla hrabiowskiego dziecka, tylko że miara nie była dobra.

– To musi chyba być lakier? – zapytała stara pani.
– Tak błyszczą!

– Naprawdę błyszczą! – powiedziała Karen. Trzewiczki były w sam raz na jej nóżki i zostały kupione. Ale stara pani nie wiedziała wcale, że trzewiczki są czerwone, bo nigdy by nie pozwoliła, aby Karen poszła do confirmacji w czerwonych trzewiczkach.

A Karen poszła.

Wszyscy ludzie patrzyli na jej nogi, a kiedy szła po posadzce kościelnej na chór, zdawało je się, że nawet stare malowidła na pomnikach, portrety pastorów i pastorowych w sztywnych kryzach i długich czarnych sukniach wpatrywały się w jej czerwone trzewiczki. Myślała też tylko o nich, kiedy kaznodzieja położył jej rękę na głowie i mówił o

chrzcie świętym, o przymierzu z Bogiem i o tym, że ona, Karen, jest już teraz dorosłą chrześcijanką, a organy grały tak uroczyście, piękne głosy dziecięce śpiewały na chórze i stary kantor śpiewał; ale Karen myślała tylko o czerwonych trzewiczkach.

Po południu stara pani dowiedziała się od ludzi, że Karen miała czerwone trzewiczki, i powiedziała, że to było szkaradne, że to nie wypada i że Karen odtąd ma nosić do kościoła tylko czarne trzewiczki, chociażby nawet stare.

Następnej niedzieli była komunia i Karen, wybierając się, popatrzyła na czarne trzewiczki, potem na czerwone, potem na czarne – i wreszcie włożyła czerwone.

Była piękna, słoneczna pogoda; Karen ze starą panią szły wśród zboża; było trochę kurzu.

Przed kościołem stał stary żołnierz, oparty na kuli, miał dziwnie długą brodę, bardziej rudą niż siwą; była to właściwie ruda broda; zgiął się do samej ziemi w ukłonie i zapytał starą panią, czy pozwoli obetrzeć sobie trzewiki z kurzu. Karen wysunęła także swoje nóżki.

– Ach, jakież piękne balowe pantofelki! – zawołał stary żołnierz. – Siedźcie mocno przy tańcu! – i uderzył dłonią o podeszwy.

Stara pani dała mu grosz i weszła z Karen do kościoła.

Wszyscy ludzie w kościele patrzyli na czerwone trzewiczki, które Karen miała na nogach, i wszystkie obrazy ze ścian patrzyły na nie, a kiedy Karen uklękła przed ołtarzem i przytknęła złoty kielich do ust, myślała tylko o czerwonych trzewiczkach, i to tak, że widziała je pływające w kielichu; zapomniała o śpiewaniu psalmu, zapomniała o zmówieniu Ojciec nasz.

Ludzie wyszli z kościoła i stara pani wsiadła do powozu. Karen podniosła nogę, aby wsiąść również, ale stary żołnierz, który stał tuż obok, powiedział:

„Ach, jakie piękne balowe pantofelki!” I Karen nie mogła się oprzeć, musiała zrobić kilka tanecznych kroków, a kiedy zaczęła, nogi tańczyły już same dalej, było to tak, jak gdyby trzewiczki pozyskały władzę nad nogami; tańczyła wokół kościoła i nie mogła ustać. Stangret podbiegł za nią, schwycił ją, podniósł i wsadził do powozu, ale nogi tańczyły dalej same, tak że straszliwie pokopała dobrą, starą panią. Nareszcie zdjęto jej trzewiczki i nogi uspokoiły się.

W domu schowano trzewiczki do szafy, ale Karen nie mogła się powstrzymać i wciąż na nie patrzyła.

Tymczasem stara pani zachorowała. Lekarze powiedzieli, że nie będzie żyła, że trzeba ją bardzo starannie pielęgnować i czuwać nad nią. Któż inny miałby się temu poświęcić jak nie Karen? Ale w mieście był wielki bal i Karen dostała zaproszenie; spoglądała na starą panią, która i tak nie mogła żyć, spoglądała na czerwone trzewiczki i myślała sobie, że to przecież nie jest grzechem; potem włożyła czerwone trzewiczki, przecież to było jej wolno, potem poszła na bal, a potem zaczęła tańczyć.

Ale kiedy chciała skrócić na prawo, trzewiczki tańczyły na lewo; a kiedy chciała wbiec do sali na górę, trzewiczki zbiegły w dół na ulicę i dalej aż za bramę miasta. Tańczyła w nich, musiała tańczyć, aż w głąb dalekiego, ciemnego lasu.

Nagle zaświeciło coś wśród drzew, myślała, że to księżyc, bo wyglądało jak oblicze ludzkie, ale to był stary żołnierz z rudą brodą; siedział tam, kiwał głową i mówił: „Ach, jakie piękne balowe pantofelki!”

Przelekła się i chciała zrzucić czerwone trzewiczki, ale siedziały mocno; zerwała pończoszki, ale trzewiczki przyrosły jej do nóg i musiała w nich tańczyć, i tańczyła po polach i łąkach, w deszcz i w pogodę, w noc i w dzień, a w nocy było najstraszniej.

Tańcząc, wbiegła na cmentarz, ale umarli nie tańczyli wraz z nią, mieli co innego do roboty; chciała usiąść na grobie nędzarza, gdzie rosła leśna paproć, ale nie było już dla niej spokoju ani wytchnienia. A

kiedy w tanecznych skokach mijała otwarte drzwi kościelne, ujrzała w nich anioła w długich, białych szatach, skrzydła sięgały mu od ramion do ziemi, oblicze jego było surowe i poważne, a w ręku trzymał miecz, bardzo szeroki i błyszczący.

– Masz tańczyć! – rzekł – tańczyć w twoich czerwonych trzewiczkach, aż staniesz się blada i zimna, aż zeschnie się skóra na tobie jak na szkielecie. Masz tańczyć od drzwi do drzwi i pukać tam, gdzie mieszkają pyszne i próżne dzieci, aby cię usłyszały i bały się ciebie! Tańczyć masz, tańczyć!...

– Łaski – zawołała Karen.

Ale nie słyszała już tego, co odpowiedział anioł, gdyż trzewiczki uniosły ją poza bramę, dalej na pole, poprzez drogę, poprzez ścieżkę, dalej dalej...

Pewnego ranka tańczyła przed drzwiami, które dobrze знаła. Z głębi domu dochodził śpiew psalmów, wynoszono właśnie trumnę ubraną kwiatami; wiedziała już, że to stara pani umarła. Karen poczuła, że wszyscy ją opuścili i anioł Boży ją przeklął.

Musiała tańczyć i tańczyła, tańczyła wśród ciemnej nocy. Trzewiczki niosły ją po cierniach i krzewach, które raniły jej nogi; tańczyła przez polanę aż pod mały, samotny domek, wiedziała, że tam mieszkał kat. Zastukała do okna i zawołała:

– Wyjdź do mnie! Wyjdź do mnie! Nie mogę wejść do ciebie, bo muszę tańczyć!

A kat powiedział:

– Nie wiesz chyba, kim jestem. Ucinam głowy złym ludziom i teraz czuję, że topór mój drży.

– Nie ucinaj mi głowy – prosiła Karen – bo nie mogłabym odpokutować mojej winy, ale odetnij mi nogi razem z czerwonymi trzewiczkami!

I wyznała swój grzech, a kat uciął jej nogi z czerwonymi trzewiczkami; ale trzewiczki wraz z nóżkami tańczyły dalej przez pole w głąb lasu.

Kat wystrugał jej kule i drewniane nogi, nauczył ją psalmu, śpiewanego przez grzeszników, a ona ucałowała rękę, która kierowała toporem, i poszła przez polanę w powrotną drogę.

– Teraz odpokutowałam już za czerwone trzewiczki! – powiedziała do siebie. – Teraz pójde do kościoła, aby mnie wszyscy zobaczyli! – I poszła prędko w stronę kościoła, ale kiedy już tam dochodziła, ujrzała czerwone trzewiczki, które tańczyły przed nią, zląkała się i zawróciła.

Cały tydzień smuciła się i płakała gorzkimi łzami, ale kiedy przyszła niedziela, powiedziała sobie:

– Teraz już dość się nacierpiałam i namartwiłam! Teraz już jestem tyle warta co ci, którzy siedzą w kościele, zadowoleni z siebie! – I poszła odważnie naprzód, ale zaledwie doszła do drzwi, ujrzała czerwone trzewiczki tańczące przed nią, przeraziła się, zawróciła i korzyła się całym sercem, żałując swej winy.

Zgłosiła się na plebanię i prosiła, żeby ją przyjęli do służby, będzie pracowała, będzie wszystko robiła, czego od niej zażądają, nie chce żadnej zapłaty, tylko dachu nad głową i aby być wśród ludzi. Pastorowa zlitowała się nad nią i przyjęła ją do służby.

Była pracowita i rozumna. Siedziała cichutko i słuchała jak pastor wieczorem czytał na głos Biblię. Dzieci lubiły się z nią bawić, ale gdy mówiły o strojach i świecidełkach i marzyły, aby być tak piękne jak królowa, potrząsała głową.

Następnej niedzieli poszli wszyscy do kościoła i chcieli ją zabrać ze sobą, ale ona spojrzła ze smutkiem i ze łzami w oczach na swoje kule, więc poszli wysłuchać słowa Bożego, a ona udała się sama do swojej komórki, która była tak mała, że mieściło się w niej tylko łóżko i krzesło; tam usiadła z książką do nabożeństwa; a kiedy czytała nabożne modlitwy, wiatr przyniósł jej dźwięki organów z kościoła i wzniosła oczy zalane łzami, i modliła się:

– O Boże, zlituj się nade mną!

Wtedy słońce zaświeciło jasno i stanął przed nią anioł Boży w białych szatach, ten sam, którego widziała owej nocy przed drzwiami kościoła, nie miał jednak już w ręku ostrego miecza, tylko prześliczną, zieloną gałąź, obwieszoną różami, i dotknął nią pułapu, który unosił się coraz wyżej, a tam gdzie go dotknął zabłysła złota gwiazda. Dotknął ścian, które rozstały się tak, że mogła ujrzeć dźwięczące organy i stare portrety pastorów i pastorowych; parafianie siedzieli w paradnych krzesłach i śpiewali psalmy – gdyż sam kościół przyszedł tutaj do komórki ubogiej dziewczyny albo też ona znalazła się w kościele. Siedziała w ławce razem z domownikami pastora, a kiedy skończyli śpiewać psalm i zobaczyli ją, skinęli z uśmiechem głowami i powiedzieli:

– To dobrze, żeś przyszła, Karen!

– To była łaska! – powiedziała.

I organy zadźwięczały, a głosy dziecięce w chórze zabrzmiały miękko i rzewnie. Jasne promienie słoneczne padały ciepłym blaskiem przez okno prosto na ławkę kościelną, w której Karen siedziała; serce jej było tak przepełnione słońcem, pokojem i radością, że pękło; dusza jej pofrunęła na promieniach słonecznych do Boga, a tam nikt już nie pytał o czerwone trzewiczki.